№ 47. Warszawa, dnia 12 (24) Listopada 1898 r. Rok XXXIV.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**
EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Na rozdrożu.

Nie wiem, czy naprzód mam dążyć
Ognistą drogą,
Czy lepiej, póki czas jeszcze,
Z drogi zawrócić;
Nie wiem, czy wrogie żywioły
Sił mych nie zmogą,
Czy warto perły cierpienia
Do stóp im rzucić.

*

Może potrafię uchwycić
Tę nić ze złota,
Drżącą nad ziemską kurzawą
W świateł topieli;
Świat jej nie widzi, schylony
Pod krzyż żywota, —
Orzeł swych lotów wyniosłych
Z nikim nie dzieli.

*

Może się w nicość obrócą
Jasne nadzieje,
Bez echa pęknie mi serce
Pieśnią wezbrane;
Może się przędza poezyi
Jak sen rozwieje,
I zgaśnie gwiazda ułudna,
I sam zostanę...

Złudzenie.

Ach ja myślałem, że dosyć mi będzie
Podnieść ku słońcu serca mego kielich
Promienny, by się na skrzydłach anielich
Zleciały do mnie śnieżyste łabędzie.

*

Śniłem, że jaki jasny duch siostrzany
Źrenice za mną obróci błękitne,
Że pod tym wzrokiem jak lilia rozkwitnę
I będę tęczą miłości odziany.

*

Próżne złudzenie. Z goryczą i trwogą
Spoglądam w przyszłość, bezsłoneczną, smętną,
I słyszę tylko niespokojne tętno
Serca, i niema koło mnie nikogo.

Nocturno.

Las szumi. Zwiędłe dęby chylą się w zadumie
I wyczekują końca bez łez i zawiści.

*

Dąb, gdy opada, tego powiedzieć nie umie,
Czy się znaczenie życia ziści czy nie ziści.

*

Po śmierci chciałbym się odnaleźć w takim szumie
I być myślą ostatnią rozsypanych liści.

Listopad, 1898.

„Leon Płoszowski."

BIAŁA BASZTA

NOWELLA

przez

Szczęsną.

I.

Z sąsiedniej izby dolatywały do uszka Małgosi dwa żywo rozmawiające głosy: jeden, dobrze jej znany, stary już, nieco drżący ale do rozkazów wprawny, drugi silny, gromki, chwilami potężny. Nie było między tymi głosami sporu, lecz wymiana postanowień, a musiały one być ważne, pilne a rycerskie, bo między słowa mieszał się szczęk szabel, między wyrazy: ojcze - druhu, padał wyraz: wojna, król, wróg...

Panienka znać przywykła do takich rozhoworów w starym ojca zameczku nad Wisłą, nie dziwiła się żwawej słów i oręża utarczce; lecz kiedy między dźwiękiem dwóch ostrzy usłyszała słowo:—dziecko, Małgosia, żona, śmierć, sierota, mąż...—coś ją tknęło niespodzianie, boleśnie, i zdumiała się, że jej imię padło między te dwa oręże.

Jednę z tych szabel znała wybornie, czyściła ją przecież nieraz, był to klejnot rodzinny, z dziada spadł dziedzictwem na jej ojca i miał się dostać w spuściźnie wnukowi po kądzieli, bowiem w starem gnieździe nie stało już syna, który poległ na węgierskiej wyprawie Śmiałego. Był to prosty, skromny lecz tęgi miecz z czasów wielkiego Bolesława; widział i z Niemcami zapasy, i Pomorczyków straszył, błyszczał przy budziszyńskim pokoju, przy trumnie Świętego Wojciecha, nad Masława buntem migotał i oto świeżo wrócił z wojny pruskiej, przy boku starca, który choć drżącym głosem już mówił, ale jeszcze pięknym błyskawicznym zygzakiem umiał zwiastować celny cios. Ale ta druga szabla—czyja? Głos rycerza był jej nieznany, czemuż więc szczęk jego żelaza mieszał się z jej imieniem..

Lecz naraz—weselsza myśl zabłysła w jej głowie; frunęła do okienka, odsunęła skórę łosiową, którą było zasłonięte, przechyliła się w dół.. i w jednej chwili, zapłonioną twarzyczkę wsunęła znów między uszaki. Nie czekała długo, aż na wysokości okienka ukazał się czerwony kwiatek kąkolu związany z kilku bławatkami, a z dołu szedł młody, swawolny głos:

— Bierz, złota moja, jeno ostrożnie—bo kwiatki drobne... a pika ostra... a rączka miękka...

Z uśmiechem odczepiła wiązankę od końca błyszczącej lancy, przegięła się i przytulając kwiatki do skroni krzyknęła wesoło:

— Bóg zapłać! a może to złe jakie ziele? czarowne?

— Nie takie ono złe na was jako ja, bom daleko, ani mi dostać gdzie ono teraz, a czarowne zaś jest, bo póki wam go nie dam, to mi źle, w rękę mnie piecze, dreszczem przejmuje... bodajby to okno niżej było, bodajby Perkun ten mur rozwalił kiedy, a dałby mi bliżej was trzymać wartę!

— Ej, nie wzywajcie pogańskich bogów, bo was prawdziwy nie poratuje—a co do warty, to... lepiejby wam z daleka wartować, boście zbliska niezdały na strażnika...

— A zkądże to wiesz, ślicznoto moja?

— Oh, wiem...

— No... nie odchodźcież jeszcze... cóż tam za strzyga woła was do środka?

— Pukają do mnie, muszę iść...

— Bodaj ich Poświst obalił!

— Cicho, bałwochwalco! bądź zdrów!

— A do kiedyż?—krzyczał z dołu ładny, młody chłopak na siwym koniu, oddając jej lancą do okienka honory wojskowe.

— Nie wiem, Zdeńku!

— Bodaj cię! no, nie wiem i ja po jakiemu ciebie przeklinać.

Tymczasem kołatano coraz silniej; skrzypnęły drzwi komnatki i weszło dwóch zbrojnych ludzi. Jeden starzec z siwą brodą, marsową twarzą, surowem spojrzeniem, drugi też już w wieku, z siwiejącym wąsem, poważnem obliczem i gorącym błyskiem w oczach. Nie ojciec z synem to, lecz dwaj druhowie; jednemu już czas ledz na polu sławy jako dąb stary pada w dąbrowie, drugiemu objąć dowództwo w w lnej potrzebie, bo i siły jeszcze ma dosyć, a powagi już w miarę... Szczęknęły szable o kamienną podłogę i cisza nastała—chwilowa, bo starszy z rycerzy, głosem nieco drżącym lecz do rozkazów snać wprawnym, rzekł:

— Małgosiu, córko moja, oto twój mąż!

Małgosi zgięły się kolana, chłodem ją przewiało, może wiatr od okienka, lub zimniej się zrobiło w komnatce od żelaznych zbroi wojaków... lub może coś w niej zagasło w jednej chwili... Zrozumiała teraz, że to jej los rozstrzygnął się w sąsiedniej izbie na ostrzu tych dwóch szabel i przeraziła się tak biedaczka, że aż głowę oparła o ścianę, a z rąk wypadły jej te kwitnące bławatki i kąkole, które zdjęła z swawolnym uśmiechem przed chwilą—z tamtego ostrza.

Ojciec tymczasem, który nie znosił oporu, a dziecię swe jednak kochał najgoręcej z trzech córek, widząc ją tak wylęknioną zwrócił się do rycerza:

— Druhu mój, Mikołaju, oto twoja żona! wojenne, ciężkie teraz czasy, ja z wyprawy już nie wrócę, ona opiekuna musi mieć; siostry jej dadzą sobie snadniej radę, znajdą niebawem obrońców; ale ta, była zawsze jak baszta niezdobyta, ośmnaście wiosen broni się z tej komnatki! hę? Małgosiu? prawda? a na oblężeńcach nie brak! Jej, sam muszę dać męża, bierzże ją, szanuj i broń; powierzysz jej serce—nie zdradzi, powierzysz imię—nie splami, powierzysz zameczek twój—obroni i nie da wziąć siebie, ani gniazda. Ta dziewczyna to teraz mój syn; jak mnie z dłoni wypadnie miecz, przez jej ręce przejdzie do ciebie. Tamtych, żadnej ci nie daję, choć starsze, bo łątki swawolne, lipkie jak miód i czułe, to na nic; powojami choć ładnie kwitną, nie podtrzymasz domowego dachu, a tembardziej czasu burzy jako dziś; przytomnego trzeba serca w niezłomnej piersi, serca co swe własne bunty pokona i zewnętrznym się nie da porwać. No, a ty Mikołaju, do nóg jej, prośże sam teraz za sobą. —

Skończył starzec i wyszedł, nim dziecko czas miało podziękować rodzicowi za męża.

Podczas kiedy ojciec mówił, prostowały się Małgosi kolana, podnosiła się pierś, dumniała do góry piękna główka, tajemnicze jakieś moce, czyste a potężne wzbierały w jej sercu wykołysanem od niemowlęctwa w rycerskich opowiadaniach ojca i dziada.

Stała też jak przemieniona z śmiejącej się dzieweczki w wielkoduszną królowę, która, jak każda inna dziewczyna może marzyć i kochać, i cierpieć, ale musi przytem i rządzić sobą i drugimi, gdy ojców w domu nie masz ..

Z łagodną też dumą przyjęła hołd rycerza Mikołaja, gdy ten runął przed nią na kolana, aż podłoga zadrżała...

— Nie bój się mnie,—mówił on tym pełnym, potężnym głosem, który słyszała przez ścianę, a który teraz nabrał w siebie tyle jakiejś opiekuńczej czułości, że się ciepło od niego czyniło słuchającej,—nie bój się, pod szronem mojej głowy rusza się czujna i gorąca myśl dla ciebie, moje dziecię, a serce prawe, które szronów nie zna, ani rdzy, dotrzyma tobie wierności... Chcesz-że ty serca mego bronić przed utratą ostatniej nadziei szczęścia, jaka mi tu się objawiła z łaski twego rodzica? Chcesz-że ty mego orlego gniazda bronić w mej nieobecności, w ten wojenny czas, gołębico ty młoda, niedoświadczona, może zlękniona w głębi duszy przed takim losem... może...

— Ja się jeno Boga boję i nikogo więcej, — rzekła Małgosia marszcząc dumnie, czarne brwi swoje.

— Nikogo?—spytał żywo rycerz.

— Nikogo!

— Ani mnie? co?

— Ani was! — zawołała prawie wesoło i jednym ruchem szybkim, silnym, wprawnym nad podziw, ująwszy rękojeść szabli, na której się Mikołaj opierał wstając z kolan, wysunęła mu oręż do połowy z pochwy.

— Pani moja, chcesz mi głowę uciąć?

— Oh nie... jeno nie mówcie, że ja się czegoś lękam...

— No, to pamiętajże, głowa moja w twym ręku, a kiedyś odważna taka, pójdźmy naprzód, do szturmu; szturm niedaleko — pociągniemy wnet na wyprawę... jutro... dziś jeszcze.. gotuj się moja miła... na Kraków nam droga. Sam biskup nas pasować będzie na wzajemnych sobie rycerzy... Potem ci zamek mój oddam pod straż . a sam, oj, panienko moja, precz mi pociągnąć przyjdzie... Król śmiały woła a woła... wieczne za niego wojny... sława rośnie przed nim, za nim... Ale żywot bez pokoju... człowiek o sobie zapomniał... kawał życia mi już zeszło tak bez gniazda... bez pieszczoty i teraz znów iść muszę... ale niechże choć wiem, że mnie ktoś w domu czeka, wspomina.. niechże ktoś zatęskni za mną...

Małgosia wlepiła w rycerza swoje oczy duże, błękitne, uważne, chłonące w siebie jego skargę, może pierwszą serdeczną skargę w życiu, i uczyniła szybki ruch ku niemu, gdy naraz coś mignęło w okienku, Mikołaj się odwrócił i zobaczył szczyt lancy błyszczącej a na nim znów kilka kwiatków zatkniętych.

— Co to takiego?—spytał z większym smutkiem w głosie. Małgosia pokraśniała, ale że odważną i prawą miała duszę, podjęła z ziemi rozrzucone przedtem bławatki i kąkole i podając mu je rzekła:

— To takie same...

— Od niego?

— Tak.

— Lubiłaś go?—pytał rycerz stawiając rzecz tę od razu w przeszłości. — Szczera bądź... widzisz, między ludźmi musi być coś zawsze... albo miłość, albo prawda, albo nieszczęście... niechże na początek dla nas będzie — prawda... lubiłaś?

— Lubiłam... od dzieckaśmy się znali... razem bawiąc się wzrośli... codzień widzieli, śmieli... Krewniakiśmy też ze Zdenkiem...

— I co było dalej między wami?—jęknął prawie cicho rycerz.

— Kwiaty, słowa, harce na koniu przy boku ojca, pieśni...

— Nic więcej?

— Nic, — dodała krótko i stanowczo dziewczyna.

— Prawdę mówisz?

Małgosia dumne, czarne brwi zmarszczyła.

— Ja jestem córką żołnierza!—dodała wyniośle po chwili. On wyjął swój miecz z pochwy i złożył go w jej ręce.

— Wierzę tobie. A na dowód zaufania, nim jutro wyruszym, dziś, do nocy szablę ci moją powierzam, mniej może sławna, ale nie mniej czysta od ojcowskiej stali.

Małgosia wzięła do rąk ten oręż długi, ciężki, i tam, gdzie był na nim wyrzezany mały krzyżyk przycisnęła usteczka swoje; potem podniosła ku rycerzowi głowę i słodki uśmiech na świeżych, dziecinnych prawie wargach rozpromienił jej piękną twarz... Mikołajowi serce tajało przed jej urodą i czuł, że życieby dał teraz za tę niewiastę, której przed godziną jeszcze na oczy nie widział.

— Nie będę ja tu bawić u ciebie, pani moja, rozbroiłaś mnie z oręża twoją hardością, oczyma hełm mi strącisz, uśmiechem pancerz rozepniesz. Oj, nie wiedziałem ja, żeś ty taka, przed którą łuski żelazne tają, a jakże ja potem pozbieram rynsztunki, gdy na mnie zakrzykną do boju? co? Małgosia moja? — pytał rycerz swym głosem silnym a spokojnym, który na niej miłe czynił wrażenie i zdradzał ile w tym siwiejącym człowieku było jeszcze żywiołów młodości, zduszonych w ustawicznej pracy wojennej.

— Żebyż choć miesiąc dano nam zostać razem w zameczku...—skarżył się ciszej.

— Ani nawet miesiąca?

— Ani tyle może nawet! Król nasz prędki... wiesz jako ci ojca z domu wyrywa... co postanowi wieczór, to rano musi być... a często w jednej godzinie zmieni myśli i rzuca wojskami to tu, to tam... wielkie i niemylne myśli ma... Ale prędki jest i uwagi a raczej woli żadnej, nie zniesie... Żebyż nie tak zaraz mnie brał...

— Nie smućcie się... może król nie wraz zawoła... Śmiały on, ale i szczodry, może nam trochę czasu nie poskąpi...

— Nam? moja Małgosiu, rzekłaś — nam? — szeptał Mikołaj uszczęśliwiony i pochylił się ku niej, ale ona szybko stawiła między sobą a nim oręż trzymany w ręku i zmarszczyła swe dumne brwi.

— Tak? to moim mieczem przeciw mnie walczyć będziesz? takażeś sroga rycerka?

— Ojciec stary krząta się, słyszę, koło jutrzejszej wyprawy, idźcie mu pomódz, rycerzu,—rzekła chłodno.

— Rozkazy nawet zaczynacie dawać staremu żołnierzowi? wnet posłucham... jeno nie uderzaj we mnie zimnemi oczyma jak kuszą w mur, bo mi się serce w piersiach rozwala... pokażże mi znów krztę słońca, małom go miał w życiu... a przecie mi się choć odrobina też ciepła należy... Oj, żebyś ty wiedziała, jak to się serce zatęskni poza tem żelazem co go wiecznie gniecie do czegoś miłego, dobrego, własnego.

Błysnęła ku niemu pięknem spojrzeniem swojem, on wąsa ogromnego pokręcił i stanął na progu. Wahał się czegoś... coś jeszcze chciał jej powiedzieć... ten żołnierz od lat pacholęcych w zbroję zakuty zachował czujność serca, które umie odgadnąć czynioną dla siebie ofiarę. Za nic w świecie nie dałby sobie tej dziewczyny odebrać, ale czuł, że ona za rozkazem ojca poszła i widział co się z nią działo, gdy rozkaz ten padł. Okazała mu potem trochę serca, ale ona była już taka, że bez serca być nie mogła, chyba dla siebie samej.. Zawrócił od proga, przystąpił blisko i ująwszy jej rękę mówił niespokojnie:

— Moje dziecię, tobie bardzo... bardzo trudno czynić dla mnie to, co czynisz?

Małgosia zbielała na licu. On dotykał tej struny, z którą ona obliczyć się chciała dopiero w dłuższej chwili samotności... czuła, że trudno jej, ale jak to dalece trudno, nie wiedziała sama... czemuż on pytał czy to trudno—bardzo...

Mikołaj niespokojnie nalegał:

— Powiedz mi... jam żołnierz stary, nie bój się mnie dotknąć... dużo wytrzymam, tyś moja już, ale, chcę wiedzieć ile cię to kosztuje... biedne dziecko—abym umiłował tem więcej... takie to czasy ciężkie widzisz, nie ma chwil do namysłu... sprawy tej naszej ziemi i ludzkich serc sprawy na ostrzu miecza się ważą.. Oh, gdybym to ja był takim, jakiegoś ty sobie upodobała! alem tak stwardniał już w boju, że miękko mówić nie umiem... ani kwiatków sypać do twej duszy... a takem się w rany wprawił, i w to, żeby się na nic nie żalić, że zgodziłbym się, aby mi twe oczy blizny zostawiały spojrzeniem, byleby mogła bez wstrętu na mnie patrzyć... zgodziłbym się cierpieć...

— Cicho!—krzyknęła Małgosia,—nie wiedzieć co gadacie, mój panie dobry, bądźcie swobodnej myśli, ja walkę lubię... rycerska płynie we mnie krew... trochę się może w boju też poranię... ale i ja chcę mieć wojenną sławę jako wy!

— Et, gadasz, dziecię o wojowaniu, i hartowną mi pokazujesz odwagę, ale twoja walka to cierpienie... dobrze że ono i mnie boli...

— Wiedzcież co mi było najtrudniejsze, to to,—że w jednej chwili z dziecka musiałam się uczynić—człowiekiem... to zawsze trochę boli... dobrze mi było dzieckiem być, w komnatce marzyć... na koniu uganiać po błoniach, na ojca czekać, o przyszłości nie rozstrzygać... Aż tu na raz... męża brać... nieznanego... niewidzianego przedtem... takiego całego żelaznego, strasznego jak wy! i zaraz—twierdzy bronić... na sumienie was brać, samotnej siedzieć wśród takich czasów! Ale ojciec dobrze mówił... drzemie we mnie rycerka... tak mi się musiało stać... nie zmarnieją moje siły... moja moc.. przyda się... i rycerzu... pocieszcie się... może nie tak trudno mi będzie jak wam się wydaje...

— Dałby Bóg!—westchnął Mikołaj. —Ścisnęła mu rękę i popchnęła lekko ku drzwiom.

— Dobranoc wam! Zostawcie mi szablę i przez noc.. —prosiła.

— Zostawiam.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZY KOMINKU.

(POGADANKA).

Dobry to przyjaciel człowieka—ten kominek. Nietylko, że łagodnem, czerwonem światłem oblewa wszystkie kąty pokoju i zmierzch rozprasza, a zwiększając cienie sprzętów, wytwarza z nich jakieś postaci fantastyczne, ruchome; nietylko że miłe ciepło ci daje, ogrzewa stopy, kolana, ręce i pierś twoją, ale —niby druh stary, znajomy dobry, budzi wspomnienia różne z lat dawnych i złotą nicią pamięci dzień dzisiejszy łączy z najpierwszym dniem twojej młodości.....

Młodość!...

Głębokie westchnienie z piersi się wyrywa.

Nie o samą tu jednak młodość chodzi, lecz o to wszystko, co otaczało ją, co dodawało jej skrzydeł i sił do lotu.

Zmieniły się czasy, dużo ludzi usunęło się w okrutną toń wieczności, a wśród tych ludzi było tyle postaci drogich, do których się sercem i duszą przyrosło. Padały łzy ciężkie, wyrywał się może jęk z piersi, gdy grób je zabierał, ale wytrwały czas, minuta po minucie, sekunda po sekundzie, spokojnie i niezmęczenie, sypał pył zapomnienia na mogiły najbliższe, na pamiątki najdroższe, na wszystko to, co zdawało się być raną niezabliźnioną, niezapomnianą nigdy boleścią, czy radością. I szare pyły rosły, pozwalając nieraz nowym łzom popłynąć, nieraz nowym wyrosnąć kwiatom, — a tamtym dawnym... zapomnienie i spokój!

Nagle malutka, złota iskierka strzeliła z dogasającego ogniska, cicho przepalone rozsypały się popioły, tu i tam błękitny ognik zamigotał a rozżarzony węgiel przybrał kształty zwalisk zamkowych i baszt rozwalonych.

To takie zwyczajne, takie codzienne prawie!

A jednak coś się w pamięci zbudziło nagle, coś zarysowało się na karcie wspomnień i zaczęły się tłoczyć widma i mary, odzywać się dźwięki i szelesty jakimś gwarem sejmowym... Zkąd? dla czego?—sam nie wiesz...

Zkąd? dla czego?... Ja ci powiem zkąd i dla czego.

Niegdyś, niegdyś—gdyś kochał może, gdyś marzył może o szczęściu innem, niż masz, o sławie innej, niż ta, która, zamiast wawrzynu, wieńcem cierniowym czoło twe okala — siedziałeś przy kominku w płonące ognisko zapatrzony, snując promienną wstęgę marzeń, która jak stary, lity pas słucki, mieniła się złotem zapału, czerwienią pragnień, bławatem wiary w spełnienie snów niemal wszystkich. I gdyś tak marzył, uśmiechnięty do myśli własnych, budując zamki na lodzie, rzucając łuki mostów ze szczytów na szczyty—oto nagle strzeliła iskierka złota, cicho przepalone posypały się popioły, tu i tam błękitny ognik zamigotał, a rozżarzony węgiel przybrał kształty zwalisk zamkowych i baszt zwalonych... I oto teraz, po wielu a wielu może latach powtórzyło się to samo zjawisko z matematyczną niemal dokładnością. Odtworzony ten obraz w pamięci, rozbudził wspomnienia, które dawniej, gdyś patrzał w ogień płonący, były myślami twojemi, marzeniem twojego życia. I oto ta iskra, ten popiół, te ruiny z żarzącego węgla utworzone, zbudziły w duszy twojej to wszystko, coś kochał niegdyś, o czem śniłeś—niegdyś. A kiedyż najobficiej sny się roją, kiedyż przybierają szaty najpiękniejsze, jeżeli nie wtedy, gdy mrok tajemniczy na ziemię spływa, gdy płomień wstążką ognistą nałożone drewka w kominie, w wężowy uścisk swój weźmie?... Myśl biega samopas, odrywa się od troski powszedniego życia, w jakichś sennych, omglonych krainach błądzi, zrywa mistycznych róż kwiaty, tonie w morzu błękitów, w niezgłębionym oceanie pożądań i pragnień.

Dawniej tylko, mając długi szereg lat przed sobą, żyłeś czarem marzeń, dziś gdy te lata poza tobą zostały, — odżywasz wspomnień czarem. Ale wspomnieniom wszystkim towarzyszy ich siostrzyca—tęsknota. I powoli, jak bluszcz oplata ruiny o kształtach pięknych, owija ona duszę twoją, w serce się wciska, staje się niepodzielną panią twych myśli, całego ciebie władczynią. I nazwałbym tę chwilę rozkoszą smutku, choć może łzy do oczu się cisną, tętno serca uderza silnie, a pierś żal jakiś przepełnia. Ognisko przygasa, ty marzysz i marzysz, pogrążony we wspomnieniach, w tęsknocie bezbrzeżnej za temi marami, które przeszły dawno, a które dziś stoją przed tobą, piękne, może stokroć piękniejsze, bo wiesz, że nieuchwytne i niespełnione nigdy.

Lubię cię płomyku kominkowego ognia, lubię skry twoje i twoje popioły. Kocham cię tęsknoto i smutku mój i was, mary wszystkie, wywołane siłą pamięci.

Na dworze chłód i mgła, mgła już od dni kilkunastu otulająca Warszawę.

W dniach 15 i 16 b m. ziemia nasza wchodziła w sferę gwiazd spadających, lecz przecinała zarazem pas masy kosmicznej, która nie dozwalała obserwować pięknego zjawiska przelatujących meteorów. Rzeczywiście, w dniach wyżej wspomnionych mgła była tak gęsta, że światła latarni rozpływały się w niej przez wilgoć wsmoktane, a linie domów zaledwie się rysowały. Chłód przejmujący wciskał się do pokoju przez drzwi i okna, a ten chłód i mgła ta źle oddziaływały na humor i gdyby nie ogień w kominie, nie potrafiłbym się od melancholii obronić.

Przy kominku dobrze baśń się plecie, przy kominku marzy się lepiej, przy kominku i serdeczniej z przyjaciołmi się gawędzi. A przyjaciół mam dosyć, bo czyż nie cieszę się i waszemi względami, szanowne czytelniczki „Bluszczu,“ czy nie mam na to dotykalnych dowodów w listach waszych łaskawie mi nadsyłanych, w których nie szczędzicie mi pochwał, a i rad nie brak,

czasami nawet i słówko malutkiej nagany się odnajdzie.

W tej chwili mam jeden list na uwadze, z nad Tykicza. Znalazłem w nim rad kilka i kilka uwag krytycznych, tyczących się nietylko pogadanek moich, lecz i pisma całego. Żałuję niezmiernie, że szanowna korespondentka p. S. M. nie zamieściła na końcu listu adresu swojego, albowiem odpisałbym natychmiast i okrom podziękowania za łaskawe jej zaproszenie na lato „nie do pałaców wprawdzie sterczących dumnie“—miałbym coś do powiedzenia o jej uwagach, szerzej i szczerzej, niż na to pozwalają ramy pogadanek, no—i inne okoliczności.

Tu już jednak niech mi wolno będzie podziękować Pani za Jej zaprosiny nad piękne brzegi Tykicza. Nie omieszkam z tego skorzystać, — wszak to moja ziemia rodzinna, wszak śpiewem dum i mleczem kwiecia swojego mnie wykarmiła. Mam wprawdzie zaproszenie na rok przyszły aż... do dwóch naraz „książęcych domów,“ ale czy pani myśli, że nie jest milszym mi dworek szlachecki, w którego ścianach może więcej cnót narodowych przechowało się? We wzmiance o „pałacach sterczących dumnie“ dostrzegłem, niewinne może, ale zawsze żądełko. Ukłucie niewielkie, zresztą szczerze poczciwe, tak poczciwe, że podwójną mam chęć poznania jego właścicielkę i dużo zapożyczyć rad od niej dla ukochanego przez nią „Bluszczu.“

Zebrane głosy wasze, łaskawe panie, niemałą by stanowiły podnietę dla pisma, które ma na celu dobro ogółu i chciałoby węzłem jak największej sympatyi złączyć się z wami. Przyjmujemy każdą radę dobrą, skwapliwie chwytamy myśl każdą zacną, a co się tyczy niżej podpisanego, to on w wielu razach zgadza się z uwagami zawartemi w liście pani.

Przebierzemy je pokrótce i zrozumiemy się łatwo:

Mówisz pani, że „Bluszcz“ jest pismem przeznaczonem głównie dla miast i wsi oddalonych od Warszawy. Dajcie nam zatem wiadomości z różnych stron kraju, dział zaś teatralny i koncertowy zamieńcie na dział korespondencyi z prowincyi od czytelniczek, ręczę zaś, że się znajdą korespondentki-czytelniczki „Bluszczu!“

Bez wątpienia, że wszystkie niemal pisma, przeważnie zaś tygodniki, najwięcej prenumeratorów mają z prowincyi, ale i Warszawa, jako miasto dochodzące już do siedmiukroć sto tysięcy mieszkańców, niemałą liczbę prenumeratorów dla każdego pisma dostarcza. Prawda, że są tego rodzaju pisma francuzkie i niemieckie, ale czy nie jest zasługą „Bluszczu,“ że zajął miejsce pism zagranicznych i do saloniku nawet mniej zamożnej kobiety się wcisnął, gdzie przed laty trzydziestu posiłkowano się wyłącznie lichemi pismami zagranicznemi? Ponieważ więc pismo nasze ma spore koło czytelniczek na bruku warszawskim, nie można ich więc pozbawić wiadomości ze świata teatralnego i muzycznego. Teatr zresztą niewiele zajmuje tu miejsca, „Bluszcz“ przyjął za zasadę dawać tylko sprawozdania z premier i to swojskich, chyba że jakieś arcydzieło zagraniczne pojawiłoby się na deskach naszego teatru.

Nie przesądza to jednak sprawy poruszonej przez panią. Wiadomości przez czytelniczki „Bluszczu“ podawane z prowincyi, tyczące się ich prac, zajęć, myśli i marzeń — byłyby bez wątpienia cennym nabytkiem dla kronikarza; większaby między nim a wami zapanowała łączność, pogawędki, zimą „Przy kominku,“ a latem na „Werendzie,“ szerszeby objęły koła i Warszawa, która bądź co bądź, jest zawsze sercem Polski, wiedziałaby więcej o was, mieszkanki wsi, niż wie dotąd. Wiedzielibyśmy lepiej „jakie prądy“ tam, u was istnieją; jakie, zupełnie nowe idee zostały wcielone w życie; jakie domowe dramaty, osnute na niezrozumieniu emancypacyi, odgrywają się wśród ścian domów wiejskich.“ To wszystko bardzo ciekawe i—podnosząc myśl pani, upraszam o listy, traktujące o waszem prowincyonalnem życiu; zastrzegam jednak zwięzłość opowieści i szczerość w wypowiadaniu myśli, bo—daję tu dowody szczerości, — lękam się, bym nie był zasypany deszczem korespondencyi bardzo małej wartości, narażonym następnie na ust pięknych skrzywienie, że się tej a tej myśli nie podjęło, nie odpisało na list taki a taki.

Ale z listu pani rad jestem niezmiernie. Bez wątpienia, powinna być większa łączność naszego miasta z prowincyą, którą mało obchodzą sprawozdania teatralne i muzyczne, choć, jak rzekłem, pominąć ich zupełnie nie sposób.

Nie jesteśmy jednak całkiem nieobeznani z życiem waszem—i nie powiem, ażeby się dobrze działo tam, u was. W jednej z pogadanek swoich potrąciłem bezmyślną a tak rozwielmożnioną grę w karty, które to zło nazwałem nawet „kwestyą wintową.“ Chorobą tą zarażony jest dotąd ogół męzki, kobiety są jeszcze od niej wolne.

Ale czy wszędzie?

Niestety!... Tam —u was, nietylko stare matrony, młode mężatki, ale panny nawet można już przy zielonym stoliku zobaczyć.

Wiem coś o tem z doświadczenia własnego.

Przypominają sobie czytelniczki moje, żem wezwał ogół niewiast do wypowiedzenia walki tej zarazie moralnej, zabijającej czas, wytrącającej z rąk książkę, obniżającą poziom umysłów; zamykającej wrota przed ważnym dniem jutrzejszym. Sprawę postawiłem na ostrzu noża, bo znam ją dobrze i wiem, do czego namiętność gry kartowej prowadzi, jakie z powodu niej zawierają się stosunki i znajomości, jaka bywa mięszanina towarzystwa, obniżającego ideały nasze, wpływającego na wyrównanie — nie mogących być wyrównanemi nierówności.

Nie jestem-że rad wiedzieć, jak słowa moje, to moje wezwanie do walki z chorobą wintową, zostały przez was—do pań się zwracam—przyjęte? Wiadomości naprzykład w tym względzie byłyby bardzo ciekawe, bez nich zaś nie wiem, czy głos mój był głosem wołającego na puszczy, czyście zrozumiały doniosłość wołania, ważność chwili, myśl, jaka mną kierowała.

Bądź co bądź, ale wy, kobiety, chociażby przez nas, ale rządzicie zawsze światem. Odrodzenie moralne mężczyzn przez was tylko nastąpić może, tylko serca, serca potrzeba.

I oto w tej chwili do tego serca się zwracam.

Czytam w N-rze 317 „Kuryera Codziennego“ korespondencyę z Cieszyna. Autor jej zaczyna od słów tych:

„Jesteśmy dopiero w połowie spełnionego zadania. Powołane do życia ofiarnością polskiego ogółu gimnazyum nasze na kresach, przechodzić poczyna ciężkie przesilenie. Jeżeli ci, którzy dali inicyatywę doniosłego przedsięwzięcia i w czyn go wprowadzili, spocząć pragną na laurach w przekonaniu, że gimnazyum stoi tak silnie, że skutecznie stawić może czoło ślązkiej opozycyi germańskiej, wytężającej wszystkie usiłowania, aby gimnazyum polskie zabić, to narazić mogą sprawę na ciężkie przejście i zniweczyć pracę ostatniego lat dziesiątka.“

„W roku bieżącym po otwarciu czwartej z rzędu klasy gimnazyum polskiego, wraz z odpowiedniemi klasami równorzędnemi, okazał się dotkliwy brak miejsca.“

„Dotychczasowy lokal, wynajmowany prywatnie, jest już niewystarczającym na pomieszczenie klas, kancelaryi i zbiorów naukowych, brak w dotychczasowym preliminarzu funduszów,— a tak, całe przedsięwzięcie może być zmarnowane w samym początku.“

„Dziś okazuje się niezbędna potrzeba zbudowania nowego, własnego gmachu na pomieszczenie gimnazyum, a fundusz na to należy co prędzej zebrać w kraju drogą składek.“

Powszechnie mówimy, że jesteśmy ubogiem społeczeństwem, a mówiąc tak, albo okłamujemy samych siebie, albo jesteśmy nędznymi bankrutami, rozrzucającymi resztki grosza z niebywałą dotąd lekkomyślnością.

Tak jednak nie jest. Ubóstwo nasze jest wewnątrz nas, mieści się ono w sercu i głowie. „Na Termopilach bez złotego pasa, bez zielonego, leży trup kontusza!“ Ale w tych kształtach jest dusza piękna, której w nas zbolały wieszcz nie widział. Osławiona piosnka o materyalnem ubóstwie naszem, jest niczem innem, jak tylko wykrętem samoluba przed koniecznością ofiarności pewnej. Gdyby tak można było zebrać statystyczny wykaz tylko przegranych w karty pieniędzy, a uposażylibyśmy niemi tak „zagrożone dziś w swym bycie gimnazyum cieszyńskie, że jużby się nie troszczyło o przyszłość swoją.“ Czy wy, panie, nie mogłybyście się tem zająć? wpływem i sercem waszem pokonać samolubstwo mężów i braci, rzucających dla osobistej przyjemności niemały grosz na stolik zielony, tłómaczących się ciężkiemi materyalnemi warunkami, gdy chodzi o dobro wagi wielkiej?...

Rzuciwszy to pytanie, przechodzę do prostej piosenki.

Warszawa zaczyna przygotowywać się do zimy. Termometr spada coraz niżej, szkiełka lodowe pokrywają bruk i chodniki i — węgiel drożeje. Jedyną rozrywką naszego miasta, zanim zapusty do tanecznego szału je zawezwą, są teatry, które publiczność jak najszczelniej wypełnia, szczególnie tem niebywałem powodzeniem cieszy się Teatr Wielki, gdzie króluje „Hrabina,“ zawdzięczając nieśmiertelnemu pięknu muzyki Moniuszki i wspaniałej grze panny Kruszelnickiej.

Pod pewnym względem zostałem upośledzony przez naturę — i jestem mimowolnym barbarzyńcą:

Nie rozumiem śpiewu

Mężczyzni ryczą, a kobiety piszczą.

Zwyciężony jednak zostałem śpiewem panny Kruszelnickiej.

Potęga i miękkość aksamitna jej i dźwięk metaliczny jej głosu ucywilizowały barbarzyńcę. Bardzo rzadko uczęszczający na operę warszawską, teraz stałem się częstym gościem Teatru Wielkiego. Urok śpiewu naszej primadonny pokonał mnie. Zbudzić się z ułudnych snów—jest arcydziełem muzyki i—wykonania.

Niezwykłe zajęcie budzi teraz w Warszawie sztuka konkursowa „Kuryera Warszawskiego“ p. n. „Familia.“ Rad byłbym, ażeby wieści dochodzące z za kulis sprawdziły się. Drażnią mnie głosy mówiące: nie mamy dramaturgów. Po raz setny powtarzam: brakło nam pola do wyrobienia się w tej dziedzinie sztuki. Teatr nasz powinien zrozumieć zadanie swoje i—jeżeli ma dawać rzeczy obce, to tylko za znakomite uznane, wolę zaś miernotę swojską, niż importowaną z Paryża. Autor, widząc na scenie słabą rzecz swoją, w nowem swem dziele uniknie błędów i może stworzyć rzecz piękną. Z niecierpliwością oczekuję popisu nieznanego jeszcze z nazwiska laureata.

? ?

PAMIĘTNIKI

Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

(Dalszy ciąg)

XXI.

Stypa.

Cała przyległa cmentarzowi kościelnemu okolica, jak daleko wzrokiem dosięgnąć było można, zaległa karetami rozmaitych kształtów, kolorów, a nawet i wzorów na ich powierzchni malowanych. Koczów, kolas i kolasek było mnóstwo; bryki kryte i niekryte z skarbniczkami pomiędzy tylnemi kołami zawieszonemi, przedłużały już i tak długie wasągi tych podróżnych powożeń, mieszczących się po za zapłociami. Konie wierzchowe ruchomym rzędem u płotów stały uwiązane. Zaledwo pozostało miejsce dla zajeżdżających powozów.

Cały cmentarz okryty był ludźmi, co nie pomieścili się wewnątrz kościoła. Żebraki dwoma rzędami, od furty parkanu aż do drzwi kościelnych, zalegli szpalerem przejście i podając żółwie skorupki, czaszki ludzkie lub dłoń wycią-

gniętą, przy chrapliwym odgłosie odmawianych pacierzy, wzywali przechodzących o jałmużnę. Księża przesuwali się, dążąc od plebanii do rozmaitych zajęć.

Na mogiłce trawą gęsto porosłej stał szeroko rozparty, z głową nieco podniesioną, wzrokiem na nowo przyjezdnych dość szydersko wymierzonym, znany już nam pan Rafał. Gdy nasi podróżni zatrzymali się dla złożenia haraczu pobożnego tym żebrakom z profesyi, zbliżył on się do mężczyzn i powitał ich żwawo, damom lekko się skłonił i wszedł z innymi do kościoła.

Było kazanie: rozwodził się kaznodzieja nad znikomością życia ludzkiego, przyszłem istnieniu duszy; tu dotknął świeżego wypadku, jaki właśnie zgromadził pobożnych, a gdy polecał duszę dawno już zmarłego modłom wiernych, nie zaniedbywał wymienić wielokrotnie wszystkich tytułów i godności, jakie osoba jego za życia na tym świecie posiadała. Wymowa kościelna niestety upadła była w tej smutnej epoce. Duchowieństwo, stosując się do przeciwnych okoliczności, podchlebiało zbytecznie może dumie światowej tych, którzy skłonni będąc wspierać ich doczesnemi dobrami, utrzymywali się przy zadawnionych uczuciach prawowierności. Z drugiej strony, wiedząc, że są w poniżeniu u wzrastającego pokolenia, napojonego niereligijnością, nie chwycili się, jak dzisiejsi kapłani, owej powagi stanu, najdzielniejszej opoki przeciw nadużyciom świata. Płaszcząc się jednym, igrając z drugimi, żyli poziomo, utrzymując byt czysto materyalny. Ze smutkiem wyznać trzeba: oddawali się w swem odosobnieniu częstokroć zgubnym nałogom, przytłumiwszy owego ducha, co kapłanowi z powołania wskazuje z wysokości niebios zarazem cel, dążność i środki do osiągnięcia tej powagi, jaką otrzymuje cnota, wsparta odwiecznemi prawidłami Ewangelii.

Stał pan Rafał przy ławce szambelaństwa, niespokojnie poruszał się podczas niektórych miejsc kazania; odchrząkiwał, a giesta jego były uderzające w tak poważnem zgromadzeniu. Nikt przecież nie wpadł na domysły, a on też coraz więcej przekonywał się, jak mało ryzykuje śród obecnych okoliczności.

Wyprowadził starosta wszystkich i stanął przy wyjściu z kościoła, gdzie wychodzących z kolei na ucztę zapraszał żałobną. Do swej pomocy wezwawszy pana Stanisława, mianował go wicegospodarzem; przysunął się do tegoż pan Rafał i powinszował doznanego zaszczytu, jako pierwszej nagrody za podjęte trudy. Zaledwo zdołał Stanisław utrzymać fizyonomię stosowną do uroczystości, której już zaczął przewodniczyć,—pusty śmiech napadał go.

W dwóch wysokich, obszernych komnatach, gdzie zastawiono śniadanie, zebrani umieścili się goście; w rozległej sali nakryto stoły do obiadu dla świeckich osób, w przyległym pokoju osobno dla duchowieństwa; sień ogromna nawet zastawioną była improwizowanemi, wązkiemi, długiemi stołami, składającemi się z ławic ułożonych na beczkach od soli; długie ławy z dwóch stron przystawione zastępowały krzesła, nakrycia były pospolite. Tam zasiedli ludzie niższych stanów, których ściągnął odgłos zjazdu, gdyż każdy przybyły dla usługi chrześcijańskiej, gościem jest w domu, w którym się uczta odbywa.

Kiedy w pokojach bawialnych raczono się łakociami, likierem i winami, była tam w ogromnych baniach wódka słodzona i farbowana. Bochny chleba, sery, masło, kiszki i wędliny porozstawiane dla zaspokojenia z góry apetytu niewytwornego. Wsparci na kijach, uzbrojonych kolczastemi jeżami, owieszeni torbami w tę i ową stronę, pochyleni wiekiem, rażeni kalectwem, dążyli w dziedziniec żebracy i zalegli wielkie koło na zielonym trawniku. Dwoje ludzi domowych rozdawało im prostą, na porcye wymierzoną wódkę i bułki chleba, upieczone pod miarę.

Takie było pierwsze poczęstne; czekano obiadu, a tymczasem królowa dziadów, baba, co to kiedyś była „coś od czegoś,“ opowiadać zaczęła innym swoje własne doświadczone i widziane ludzkie przygody; coraz ściślejsza około niej zbierała się gromada, kilku ciekawych wyszło z pokoju, aby słyszeć jej gawędę.

Kiedy się to działo na zewnątrz, w pańskich komnatach na wstępie przedstawiano niemal wszystkich panów nowoprzybyłej w tę okolicę szambelanowej i jej córkom, pannom sędziankom. Pan podkomorzy, pan cześnik, pan wojewoda, pan chorąży, pan podsędek, pan komornik i naówczas sędzia zjazdowy,—trudnoby zliczyć tych wszystkich urzędników i dygnitarzy tam zebranych, przyjaciół szambelana, co się kwapili poznać jego małżonkę i przybrane córki.

Starosta, czyniąc honory nowoprzybyłej, stanął przy kanapie, a ona zaczepiła go, pytając:

— Czyj jest ten ładny portrecik dziecinny z wygoloną głową i delią na ramieniu zarzuconą?

— To mój dziad wujeczny—odparł, — był na edukacyi w Paryżu, pokochał się w Francuzce, a gdy za powrotem familia zabroniła myśleć o tym romansie i wskazała związki z rodaczką i familiantką, on jej też doniósł o swem postanowieniu. Wkrótce, odebrawszy list od niewiasty, otwiera go i pada bez duszy — pismo było zatrute i zawierało tylko te wyrazy: „Giń, kiedy moim nie będziesz.“

Następnie pan starosta przedstawił swego wice-gospodarza, pana Stanisława, jako godnego swego przyjaciela, rekomendując go nowoprzybyłym damom. Major stał za krzesłem Józi. Zrozumiał Stanisław, że stanowisko zajęte; na pierwszy rzut oka zdawało mu się, że mając pierwszy wybór, major uchybił dobremu gustowi. Maryni wielkie, niebieskie oczy, ciemny włos, płeć delikatna i gładka, rysy regularne podobały mu się, mimo nizkiego wzrostu; — wpatrzył się w nią. Ona to spostrzegłszy, zarumieniła się—i piękniejszą była.

Staś zbliżył się do jej krzesła i zapytał o zdanie co do okolicy. W świeżej mając pamięci opowiadanie szambelana, przyszła jej na myśl stosowna odpowiedź, że jest bardzo interesującą pod względem historyi, żyzną co do ziemi, a miłą dla społeczeństwa, które w tych stronach poznała. Taki wstęp do rozmowy ucieszył Stanisława, lekkie błędy w zdaniach, później objawiane, mierność tłómaczenia się na rozmaite zagadnienia, pokryte zostały zasłoną, jaką miłość kochającym na oczy zarzuca; — piękne usta zawsze dobrze mówią, a pięknemi są te, które się podobają i wzajemny odsyłają uśmiech przychylności. Stanisław tak był zajmujący, że nie mógł być obojętnym dla nie natchnionej jeszcze żadną miłością Maryni — on, coby powinien odnosić zwycięztwo nad spółubiegającą się młodzieżą.

A więc podobali się sobie i nie na tem skończyli

Szambelanowa i w prawo i w lewo zabierała znajomości z poważnemi Kujaw matronami; damy obok niej na kanapie i w około siedzące były matadorki tej okolicy, kobiety dobrego tonu i wyższej godności; takie niemal wszędzie sobie podobnemi są. Rozmowa którą toczyły, nie miała pewnej barwy, bo z nowemi znajomościami powszechne tylko wiadomości, bardzo lekko rzucane zdania i często zmieniony przedmiot popłaca. Zdaje się to jakby egzamin wzajemny, dla ocenienia osób prowadzony, w którym się wysilają strony dla schwycenia słabego wątku.

Pan sędzia, uważając opodal, dostrzegł niedostatek jednoczącej siły w tej kobiecej rozmowie, powstał ze swego miejsca i zagadnął najprzód szambelanową jako obcą, podniósł upadającą konwersacyę, świadczył się jednej z dam, a gdy ta przywtórzyła jego twierdzeniom, zaczepił inną, aby szambelanowej zechciała odpowiedzieć nadmienione przez niego zdarzenie, które sam jak mówił, nie dobrze pamięta; — tej zrobił jaki uprzejmy zarzut, inną oskarżał przed sąsiadką. Ożywił koło dam, a gdy drudzy panowie widzieli, że tam się dobrze bawią, jeden po drugim, ściągani żywością rozprawy, wdali się równie w gawędkę. Tak zmięszało się poniewolnie całe zaznajomione towarzystwo. Ci co nie mieli chęci lub śmiałości żądać zaprezentowania, pozostali z dawnymi znajomymi, a nie mogąc już z daleka słuchać zbyt gwarliwej wymowy kanapowego koła, poczęli między sobą na rozmaite dzielić się grona i wiedli na swą rękę rozprawy zastosowane do pojęć, tonu, gustu i upodobania swych koteryj. W tej stronie opowiadano sobie sprawy sądowe, wyrażenia łacińskie brzmiały niemile śród polskiej rozmowy; tam modne zebrało się kółko i mięszano francuzczyznę, tu myślistwo odzywało się w naśladowczych głosach, a owdzie słyszano pochwałę koni i dziwne w handlach oszustwa. Wszędzie przyłączali się mężczyzni starsi i młodsi, zwracając mowę do osób częstokroć różniących się dużo od nich wiekiem. I tak: widziano jakiego sędziwego pana w kontuszu granatowym, białym atłasowym żupanie z litym pod brzuch podwiniętym pasem, zakończonym bogatą złotą frendzlą, z głową wygoloną i spiętym spinką bogatym paskiem na szyi. Pierścienie drogie błyszczące na ręku, migotały w słonecznych promieniach, kiedy giestykulując, do młodej panienki stroił susy, prawiąc z zapałem, że ona jest różą, rozkwitającą w tym cudnym ogrodzie młodości. Obok niego zgięty w sierp chudy starzec równie w polskim stroju, stroił przysiudy do młodej mężatki, uważając ją jako wzór kobiet, a dostrzegłszy zbliżającego się jej męża, wręcz oświadcza, że mu zazdrości takiego szczęścia, — bierze rączęta młodej damy, całuje z uniesieniem, a mąż nie gniewa się o te demonstracye, bo zna ich wartość.

W tem miejscu — jednem z ciekawszych, niestety, brakuje kilku kart w rękopiśmie. Nie podejmuję się uzupełnić przerwy wiadomościami z innego źródła. Czasy to zbyt odległe, a zdarzenia zbyt prywatnej natury, aby mógł był dotychczas pozostać jakiś ślad piśmienny lub drukowany. Ludzi, którzyby owe chwile pamiętali, dziś już na świecie nie ma. Jednakże dalszy ciąg pamiętnika rzuca pewne światło na to, co tutaj nastąpiło.

Jak widzimy z opowiadania pani Adaminy, towarzystwo ówczesne miało ton dosyć swobodny, choć ogładny, a nastrój jego był bardzo sentymentalny. Prócz zdawkowej galanteryi, stanowiącej tylko salonową zabawkę bez znaczenia, ówczesne damy i kawalerów łączyły nieraz stosunki tkliwsze lub wybuchała między nimi namiętność nagła, gwałtowna, nie hamowana rozwagą, nie krępowana obowiązkami poważniejszemi, których ciężaru nikt zresztą w tym świecie rozbawionym i wesołym zbyt dotkliwie nie odczuwał. Życie było znacznie łatwiejsze i wygodniejsze, mniej też poważnie je brano i nawet najdonioślejsze postanowienia zapadały bez poprzednich rozmyślań i walk wewnętrznych. Ród Płoszowskich był jeszcze wówczas w naszym kraju nieznany. Ztąd też tak często zdarzały się w owej epoce wypadki wykradzenia nawet po krótkiej znajomości i nawet wtedy, gdy nie wyczerpano jeszcze środków usunięcia przeszkód dzielących rozkochaną parę—w sposób legalny. Wszelkie awantury miłosne miały wielki urok. Ojciec mój opowiadał mi, że już w wiele późniejszych czasach znał pannę, która postanowiła sobie wyjść tylko za takiego wielbiciela, który się zdecyduje ją wykraść.

Jakie okoliczności towarzyszyły wykradzeniu Maryni, nie umiem powiedzieć. To jedno tylko wynika z opowiadania, że pan Stanisław w ciągu owej hucznej stypy żałobnej w Bożejewicach zdołał zdobyć jej serce i zbliżył się o tyle do rodziny szambelana, iż poznał, że o ile liczyć może na wzajemność córki, o tyle marzyć mu trudno o pozyskaniu zezwolenia jej matki, pani szambelanowej. Nie dał się tem jednak odstraszyć, a nie próbując zwalczyć przeszkody—pominął ją.

Porozumiawszy się z Marynią, a zapewne i z jej bliższem otoczeniem które w wykonaniu zamiaru dopomódz mogło, wykradł ją z domu rodzicielskiego. Jednakże matka oburzona naruszeniem jej praw rodzicielskich, nie wahała się chwycić najostrzejszych środków, by winnych ukarać. Szambelan przy swem usposobieniu łagodnem i zgodnem byłby niewątpliwie pogodził się z faktem dokonanym. Był jednak, zwłaszcza w owej porze, pod wszechwładnym wpływem swej despotycznej małżonki, — zresztą jej, jako matce, przyznawał z pewnością większe prawo do stanowienia o losie dziecka, niż to, jakie on, ojczym, mógł posiadać.

Widocznie sprawa nie została załatwioną, jak wówczas bywało zwykle, na drodze prywatnej, udano się o poparcie do władzy, gdyż na skutek pościgu odebrano Marynię, a pan Stanisław został uwięziony.

Dalsze następstwa tego wypadku są przedmiotem następnego rozdziału, któremu damy tytuł: „Historya Maryni.“

Pamiętnik w dalszym ciągu w inną nieco ujęty jest formę. Zmiana nazwisk nie jest już tak konsekwentnie przeprowadzona. Autorka chwilami zapomina o pierwotnym zamiarze ujęcia swego opowiadania w szereg szkiców powieściowych i wyraża się w formie osobistej, gdy zaś zaczyna mówić o własnych wypadkach z dzieciństwa, stale mówi w pierwszej osobie, zdradzając ukrywane przedtem incognito. Jednakże ta część pamiętnika zawiera tak ciekawe wizerunki ówczesnego towarzystwa i tyle charakterystycznych mieści szczegółów, że nie chcąc jej psuć przeróbkami, wolałam ją pozostawić w tej samej formie, jak była napisaną.

(Dalszy ciąg nastąpi).

TEATR.

Familja, dramat w 5-ciu aktach, z konkursu „Kuryera Warszawskiego.

Ze 105 utworów dramatycznych, przysłanych na konkurs „Kuryera Warszawskiego,“ komitet sędziów uznał „względnie, przy zważeniu wad i zalet“ za najlepsze następujące utwory: „Familia,“ dramat w 5 aktach, „Prezesowicz.“ komedya w 5 aktach, „I co teraz?“ sztuka w 5 aktach, „W sieci, utwór dramatyczny w dwóch częściach a 5-ciu odsłonach i „Wątpliwe szczęście,“ obraz w 3 aktach. Z zaleconych do grania tych pięciu utworów dramatycznych, dyrekcya teatru dwie sztuki tylko przyjęła: „Familię“ i „I co teraz?“

Zapewne czytelnicy moi zauważyli, że pisząc sprawozdanie ze sztuk naszych, skwapliwie podnoszę wszystkie napotkane w nich zalety, z całą względnością potrącając o wady, z prawdziwą zaś przykrością używam ostrza pióra, jeżeli potrzeba zganić utwór przez naszego autora pisany. Zarzucano mi nieraz tę łagodność sądu, opieram się jednak na następujących zasadach: po pierwsze — arcydzieł nie szukam, bo one na kamieniu się nie rodzą; powtóre — widząc na scenie naszej chwalone *miernoty* zagraniczne, wolę *równej* wartości sztukę swojską, boć zawsze ona bliższą jest sercu mojemu, i — po trzecie: dramat nasz, rozwijając się w najniekorzystniejszych dla siebie warunkach, wymaga większej pobłażliwości.

Niestety! pisząc sprawozdanie o „Familii,“ owej sztuce wybranej przez sąd konkursowy, pobłażliwość moja równałaby się w danym wypadku mazgajstwu. „Familia“ jest pod względem założenia — wadliwa, psychologicznie nieprawdziwa, wzięta ze strony etycznej — niemoralną, pod względem artystycznej budowy — koszlawą; a jeżeli ma jeszcze zalety, to tylko literackie. Piszemy te słowa z niewymowną przykrością; bo jeżeli komitet sędziów uznał „Familię“ jako sztukę najlepszą, to jakież śmiecie być musiało w tych kilkudziesięciu odrzuconych utworach? Zali prawdą by było, że nie doroślismy jeszcze do stworzenia dramatu, przeciwko czemu z tak głośnym nieraz występowałem protestem? A może omylił się komitet sędziów? Być i to może, — przecie mylić się jest rzeczą ludzką. Po raz nie wiem który ujawnia się tylko prawda, że konkursy nie tworzą talentów, że tysiąco-rublowe nagrody ani jednego cennego dramatu literaturze naszej nie przysporzyły.

Przystępując do rozbioru pierwszej konkursowej sztuki, muszę udowodnić stawiane zarzuty. Powiedziałem więc o *wadliwem jej założeniu*.

Dla czego?

Stary Skiba wydzierżawił ziemię swoją ukochanej córce Katarzynie, żonie Jana Grzebienia. Pragnąc jednak mieć byt zapewniony, oraz pewność wypłaty dzierżawnych pieniędzy, bierze od zięcia 2000 rb. tytułem kaucyi. Tymczasem w jednym roku kartofle pogniły, w drugim zboże nie urodziło, w trzecim chudoba na zarazę padła, ciężko było Grzebieniom uiścić się z przypadających za dzierżawę pieniędzy, co widząc stary Skiba, daruje dzieciom tenutę. Postąpił więc tak, jak każdy dobry ojciec postąpiłby, zresztą miał prawo rozporządzić swoją własnością, tem bardziej, że Katarzyna jest jego ukochanem dziecięciem, córką niezapomnianej żony i matki najlepszej.

Wszystko zatem, jak dotąd, jest w porządku.

Ale oto upływa rok jeszcze jeden i Grzebieniowie, znać już przywykli do darowizny, dzierżawy płacić nie chcą, starego z chaty wyganiają, a za marną strawę każą mu drwa rąbać i inne ciężkie wykonywać posługi. Oburzony tem postępowaniem stary Skiba chce córkę i zięcia z gruntu wyrzucić, ale nie chce im wcale wracać zastawu w sumie 2000 rubli, tłómacząc się tem, że przez lat kilka nie płacono mu należności. Daremnie zła córka i żyd arendarz mówią, że o darowanych pieniądzach mowy już być nie może. Stary pieni się z oburzenia, czuje się być pokrzywdzonym, a że z dziećmi formalnym związał się kontraktem, nie widzi innego sposobu wyłabudania się z nieszczęścia, jak zawezwać całą familię na naradę i wykonać to, co ona postanowi, bo „familia—to święta rzecz!...“

Co familia postanowi, domyślamy się od razu z aktu pierwszego, czyli cała intryga dramatu nie budzi już w nas żadnego zaciekawienia, bo stary Skiba dyszący zemstą przeciwko ukochanej swej córce, kilkakrotnie powtarza: „będzie wam jasno!“ t. j. że spali chałupę Grzebieniów, a że sama chałupa, choćby najczerwieńszym paląca się ogniem, nerwowego drżenia nie sprawi i dramatu nie wypełni, — więc w chałupie musi spalić się ukochane dziecko Skiby, i jego zięć, leniwiec, ale czujący krzywdę starego i ukochany wnuczek zaciekłego dziada mały Grzegorzyk. Od czegóż zresztą dramat, jeżeli nie od mordowania ludzi?

Założeniem więc dramatu jest *krzywda*, która wymaga *sprawiedliwości*. I oto błąd kardynalny, z powodu którego cały dramat chwieje się, to jest, przestaje właściwie być dramatem, a jest tylko stekiem okropności, mordu, gwałtu i bezprawia, oddziaływającym wprawdzie na nerwy, ale wypowiadającym bój zdrowej logice i prawdziwie artystycznym wzruszeniom, które są wynikiem starcia się namiętności, łamania się dusz ludzkich w walce z otaczającym ich światem, z głupotą albo podłością ludzką. *Krzywdy* nie było żadnej, gdy stary Skiba chce dzieci wyrzucić, a one nie chcą ustąpić z gruntu, bez zwrotu złożonego mu na ręce zastawu w sumie 2000 rb. Nietylko, opierając się tu na prawie pisanem przegrałby sprawę stary Skiba, ale, rozważając rzecz całą ściśle i według sumienia, wyrok by nie mógł wypaść inny, jak taki: oddaj zastaw, oddam ci grunt. Pomijam tu oczywiście stosunek córki do ojca, obowiązek moralny dziecka, za dobre dobrem, za poświęcenie poświęceniem odpłacić — tu bez wątpienia stała się krzywda staremu, ale gdy chodzi o interes pieniężny, a na tem właśnie cały rozwój dramatu spoczywa, krzywdy nie było, i nadaremno autor chce ją w nas wmówić przez usta dotkniętego nią Skiby.

Lecz Skiba czuje się pokrzywdzonym — tak chce autor. Prawo jest przeciw niemu, ale sumienie przy nim stoi — tak równie chce autor. Czując się więc bezbronnym w obec prawa pisanego, przypomina sobie stary Skiba jakieś prawo zwyczajowe (o którem, mówiąc nawiasem, żaden z ludoznawców nie słyszał i poczynione w tym względzie poszukiwania sędziów konkursowych żadnego dodatniego rezultatu nie dały. Patrz Nr 314 „Kuryera Warszawskiego,“ sprawozdanie sądu konkursowego). Prawem tem jest sąd familii, której wyrok święcie musi być wykonany, uprawniając postępek — zbrodniczy nawet i zapewniając spokój sumieniom — krwią zmazanym.

W akcie drugim odbywa się ten sąd. U Mikołaja, syna Skiby, zgromadza się cała „familia.“ Jest więc sam pokrzywdzony patryarcha rodziny, Mikołaj z żoną, Walek i Zosia — ich dzieci i Kuba brat Skiby, z żoną swą Filipiną. Zanim do ostatecznej decyzyi przyszło, „familia“ czyni wymówki staremu, że ją skrzywdził, oddając grunt córce, ćwika mu tem w oczy i syn, z czego zarzutu autorowi nie robimy, bo scena ta z życia jest wzięta, — wreszcie na stole pojawia się butelczyna wódki, która coraz więcej rozwiązuje usta, namiętności rozpala, wreszcie stokrotnie daje się słyszeć okrzyk: „śmierć!“ wzmocniony stokrotnie też podniesionem zdaniem, że: „familia to święta rzecz!“ i — wyrok zapada, że stary Skiba, gdy zięć jego Grzebień z żoną swoją i dzieckiem zasną w chałupie, podeprze drągiem drzwi i okna i chatę podpali „Familia“ wydaje ten straszny wyrok, nie przeto, żeby on był wymiarem czystej sprawiedliwości, lecz że po wyduszeniu rodziny Grzebieniów, grunta wrócą do starego, który zobowiązał się testamentem rozdzielić je między pozostałemi dziećmi. Stary poprzysięga zemsty dokonać i grunt dzieciom oddać, podnosi palce w górę i z namaszczeniem powtarza słowa przysięgi: „Tak mi dopomóż, mój Boże!“ a słowom wtóruje zacna „familia“ (niech ją pioruny jasne!..,) wzywając Boga na świadectwo, że zbrodnia spełnioną zostanie.

Coś, o podobnej mieszaninie pojęć, o etyce podobnej, kiedy to wzywano Bożej pomocy do spełnienia zbrodni, czytaliśmy w starych romansach, w których bohaterami byli bryganci sycylijscy, — ale tak dalece ludu naszego znieważać niewolno, bo mimo poziomu jego cnót i zasad moralnych, broni go od zarazy podobnej i głębokie uczucie religijne i szczepowa, słowiańska łagodność. Gdyby podobny fakt zdarzył się kiedy pomiędzy kmieciami i autor o nim zasłyszał, to nie jest jeszcze tematem do dramatu, który ma przecie za zadanie przedstawić życie w jego prawidłowym rozwoju, nie jednostki wynaturzone, w „Familii,“ przedstawiające pewien odłam społeczeństwa naszego. Kretynów wszelkich i wszelkich Tropmanów, poważny dramat za nawias musi wyrzucić, a czemże jest „familia“ Skiby, razem z nim wzięta, jeżeli nie bezdusznymi zbójcami, dla których nawet niedostępne są wyrzuty sumienia. Ale bez sądu „familii“ Skiba nie zdobyłby się na czyn haniebny, bez tego zaś czynu nie byłoby „Familii,“ przesłanej na konkurs „Kuryera Warszawskiego.“

W akcie trzecim, który jest kulminacyjnym punktem dramatu i jego zakończeniem, bo dwa następne są konaniem wściekłego rozpędu dramatopisarskiego — autor nas przygotowuje do sceny zbrodni straszliwej. Grzebień po spożyciu wieczerzy ziewa przy stole, Grzegorzyk syn jego i Katarzyna na zydelku do snu się układa. Ktoś w okno stuka — to Walek Mikołajów. Chce przysłużyć się wujowi i drew mu narąbać, prosi więc o siekierę. Oczywiście jest to pretekst tylko do wyręczenia Grzebienia w pracy — „familja“ chce pozbawić go środków obrony i wysłała Walka po siekierę — Walek, uchodząc z siekierą, rzuca Grzebieniowi słówko okrótne, że Katarzyna zdradza go z Kubrakiem. Ospalec nie wierzy słowom chłopca, ale Grzegorzyk szczebiotać zaczyna i mówi, w niewinności swej duszy, o piosnkach Kubraka śpiewanych pod oknem, o jego odwiedzinach matusi... przez okno. W ospalcu budzi się zawiść i gniew — na strych spać idzie i Grzegorzyka z sobą zabiera. Po chwili zjawia się Skiba, widzi się z córką, zaklina ją, by naprawiła krzywdę — ale zacięta Katarzyna słyszeć o tem nie chce, wtedy Skiba mówi, co ludzie na wsi o niej i o Kubraku gadają, że on ją bronił przed oszczerstwem, a kiedy córka dziękuje ojcu za tę obronę, za oknem daje się słyszeć rozpustna piosnka Kubraka, wezwanie na schadzkę. Wtedy Skiba żąda, by Katarzyna pozwoliła Grzegorczykowi pójść z dziadem — a kiedy i tej prośbie zadość uczynić nie chce, stary rzuca klątwę na wyrodną córkę i wychodzi.

Klątwa przeraża Katarzynę a w tej chwili przez okno Kubrak wchodzi i jakkolwiek przerażoną kochankę swoją widzi, jakkolwiek wie o przyczynie jej niemej martwoty, hassa sobie po swojemu, wyśpiewując mazurską piosnkę jakąś, jakby był sam jeden w komorze, jakby nie wiedział, że na strychu śpi Grzebień, i z drągiem po drabinie zejść może. Katarzyna, pod wrażeniem klątwy siedzi jak martwa, a wiejski lowelas obejmuje ją i śpiewa a śpiewa. Oczywiście, że Grzebień to posłyszał i zaczął się zsuwać z drabiny stojącej za niemi, ale oni go nie widzą, choć jasno w izbie, bo kaganek płonie; zatrzeszczały szczeble drabiny pod stopami zchodzącego, ale oni wzrok zwracają w inną stronę, nie na drabinę, gdzieby przy płonącym kaganku dostrzegli Grzebienia i zawcześnie nastąpiłaby katastrofa. Grzebień przesuwa się poza nimi podchodzi do stołu i gasi kaganek—ale rozśpiewany Kubrak niezważa na tę przemianę jasności na ciemność, co pozwala Grzebieniowi przez okno wyleźć, podeprzeć je, (co bez niego zrobiłby to Skiba) i pojawić się w drzwiach z drągiem okrutnym, ku przerażeniu kochanków. Kubrak, widząc co się święci, dobywa noża—ale marna to broń przeciwko drągowi. Wtedy Katarzyna za plecy męża zachodzi, porywa go za szyję, nawołując gacha, by zadał w pierś Grzebieniowi cios śmiertelny. Następuje ohydny mord—a w tej chwili daje się słyszeć ze strychu rozpaczne wołanie Grzegorzyka, bo strzecha już płonie. Dym wypędza malca z poddasza, ognie buchają, Kubrak dorzezuje Grzebienia, i przeraża się widokiem własnym—bo dłonie jego krwią ociekają. Nie traci tylko przytomności zakamieniała zbrodniarka, myśli nad sposobami ukrycia trupa, ale jak go wywlec, gdy Grzegorzyk przypadł do zwłok ojca i oderwać się nie daje.

Instynkt zachowawczy ratować się każe. Płomienie ogarniają izbę, więc paląc się rzucają się do okna. Ale okno zamknięte, do drzwi, ale już stary Skiba drzwi zaparł. Kurtyna zapada wśród jęku przerażonych, szumu ognia i łkania Grzegorzyka przyczepionego do trupa ojcowskiego.

Scena wstrętna—a efekt za gruby. Dramat zmienił się w melodramat i nie przejął nas grozą rzeczywistego tragizmu, złamaniem się sił jakichś wielkich, zasłużoną czy nie zasłużoną, lecz potężną śmiercią—zagrał nam tylko na nerwach zewnętrzną stroną obrazu, owym ogniem syczącym i buchającym, owym ogniem brutalnym, ową krwią, którą ociekały ręce zbrodniarza.

Scena ohydna—i mogłaby być prawdziwą, a jednak jest nieprawdziwą. Gach włażący przez okno nie śpiewa, a śpiewając nie przymyka oczu jak słowik, by nie dostrzedz, że światło zagasło i drzwi podparte mogą się nie otworzyć, ale szyby okna dałyby się wybić z łatwością nie tylko w chłopskiej chacie i ramy wysadzić. Lecz cóżby było, gdyby kochankowie uciekli? na co by się przydał sąd „familji“ i wszystkie zamiary Skiby? Odmówił więc autor bohaterom swoim samozachowawczego instynktu, który, kazałby im choć marne szkło wybić, by uratować się od dymu napełniającego izbę.

Na tem właściwie dramat się kończy. Mówiliśmy już o błędnem założeniu dramatu, teraz powiedzmy słów parę o psychologii.

Skibę, chciał nam autor w dodatniem świetle przedstawić,—wyszedł zaś z niego zbój najpospolitszy. Mówi ciągle o krzywdzie swojej, wspomina o dobrodziejstwie dla córki uczynionem, gdy nie chciał wziąć od niej należnej raty dzierżawnej; tymczasem, zastawnych pieniędzy nie oddał—pokwitował więc sam siebie. Ten „Lear w sukmanie“ jak to czytamy w sprawozdaniu konkursowem, okazał się tylko głupim chłopem, o tak niskich instynktach, że razem z córką niezawahał się i ukochanego wnuczka spalić. Gdzie jest w tem wszystkiem prawda psychologiczna i konsekwencya czynów? A sąd „familji?“ Autor mówi o nim, jako o zwyczaju istniejącym. Zgoda! Ale gdzież ten sąd „familji“ był wtedy, gdy stary wydzierżawił grunta i darowywał dzierżawne pieniądze? Od tych—dajmy na to lekkomyślnych uczynków—sąd familijny nie miał władzy powstrzymać starego. miał jednak władzę wydania wyroku śmierci, wyroku nieodwołalnego, bo—„familja—to święta rzecz!“ Czy jest prawdziwem także, by *rada* podobna „familji“ odbywała się przy—dzieciach? boć smarkaczem jest Walek, syn Mikołajów i podlotkiem Zośka, córka ich—uczestniczący, choć niemi w naradzie. Zdrowy rozum chłopski nie zniósłby takich świadków. Dzieci usunął, drzwi zamknąłby a jeno starszyznę przywołał. Zkąd się też wziął potwór taki, jakim jest Katarzyna, tyranizująca ojca, szczująca psami bratowę, mordująca męża? Przecież to była córka zacnych rodziców, kochana przez nich, dobre tylko przykłady mająca?...

Zagadka psychologiczna. Ale takich zagadek, co krok—darmo więc szukać odpowiedzi.

Akt czwarty, jest już niepotrzebnym balastem dodanym i do tak już ciężkiego dramatu. Ulica we wsi, zdala łuna od dopalającej się chaty Grzebieniów, dzwony biją na gwałt, kmiecie przebiegają scenę. na ratunek spóźniony pogorzelcom pojawia się zgnębiony Skiba i słyszy pełne grozy wołania zza kulis: „trup Grzebienia“ „trup Katarzyny“ „trup Grzegorzyka“ „trup Kubraka,“ aż wreszcie przerażony Skiba pyta czy nie ma tam jeszcze piątego trupa? Ale na szczęście nie ma!

Akt piąty—zajmuje konanie Skiby, siedzącego na przyzbie chaty. Daremno go wnuczka pociesza, mówiąc o wietrzyku wiejącym z cmentarza, niebie błękitnem i śpiewających skowronkach—stary kiwnął się parę razy i umarł. Przed tem wprawdzie zeznał przed księdzem za kulisami i wujtem na scenie, że on jest tylko winowajcą. Z zeznania tego cieszy się „familja,“ nie czując najmniejszego wyrzutu sumienia. I stary Skiba „ten Lear chłopski“ daleki jest od tego nieszczęścia zbrodniczej duszy. Żal mu córki—ale nie czynu. Wybiera się spokojnie do Pana Boga, w ostatniej chwili powtarzając: „familja—to swięta rzecz.“ Pieczęć położona—na świętość familji, kurtyna zapadła.

A teraz pytamy—dla kogo autor, którego nazwisko lada chwila ujawnione zostanie—sztukę swoją napisał. Czy dla tych, którzy nie znają ludu?... W ładnem świetle więc go nam dramaturg przedstawił. Z takim ludkiem nie chciałby piewca o ziemi naszej kości swoich pogrzebać. Może więc dla ludu? O, nie! takiej sztuki chłopu naszemu nie pokazałbym, bo w niej się uświęca „sąd familji“ zakończony — uprawnieniem zbrodni. Morał nie jest inny: „Familja to święta rzecz!“ mówi idący do Pana Boga Skiba.

Galerya klaskała, loże milczały, parter śmiał się nawet, choć dramat już się krwawił. Jakaś pani omdlała. Lecz niech się autor z tego nie cieszy. Rzezanie szczura na scenie podziałałoby na nerwy—a cóż mord człowieka i widok krwi. Realizm za wielki. Potrącone zostały widocznie nerwy—ale serce protestowało, rozum zaprzeczył prawdzie. Znakomita gra artystów nie uratowała sztuki—a Rapacki był wspaniały w roli Skiby, Marcello w roli Katarzyny, Frenkiel jako Grzebień i Wojdałowicz jako arendarz. Nowicki, w roli Kubraka był także niezrównany. Ciekawi jesteśmy nazwiska — laureata. Po piątem przedstawieniu dowiemy się kogo wawrzyny uwieńczą.

Kazimierz Gliński.

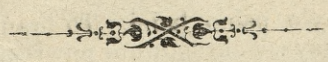

Józef Jarosz Rychter.

Tajemnice Zamku Krzyżackiego.

OPOWIEŚĆ NA TLE LEGENDY.

(Dokończenie).

Skoro już byli za bramą kościoła, organy się ozwały i słychać było szczęk broni i ciężkie stąpania.

Miron spojrzał na komtura z niedowierzaniem, chciał przemówić, ale nowe zjawisko zamknęło mu usta.

Zbliżyli się do arkad. Ztąd ciągnął się długi kurytarz, w głębi którego widać było katafalk, a w około mnóstwo gorejących świec. Nad czarną trumną stała postać w śnieżystej szacie, o długich jasnych włosach i w białem ręku trzymała wieniec.

— Któż tu umarł? — zapytał Miron komtura. Komtur milczał.

Miron patrzył na postać w śnieżystej bieli, unoszącą się nad zmarłym i uczucie głębokiej czci owładnęło duszą jego. Przybliżył się do trumny i ujrzał w niej zwłoki starca w stalowej zbroi. Zmarły miał rysy szlachetne, twarz gładką i długi, srebrzysty włos spływał mu po ramionach.

Miron ukląkł i począł się modlić.

— Kto zacz ten umarły? — zapytał po chwili komtura.

— To prawdziwy rycerz Maryi, pogromca pogan, zdobywca Kiszporga... Ciała jego strzegą aniołowie, bo żył dla wiary i dla wiary umarł,— brzmiała odpowiedź komtura.

Miron westchnął, zrobił na piersiach znak krzyża i obaj zwrócili kroki na prawo... Tu wązkie stopnie prowadziły w podziemia zamkowe. Miron wiedział, że nie tędy droga do celi komtura, ale już mimowoli szedł za swoim przewodnikiem. Od czasu do czasu wzywał Boga na pomoc, drżał na ciele, jakby przeczuwał rzeczy straszne.

— O, ludzie mówili prawdę! Tu nikt nie żyje, a nawet sam komtur skazany jest na pokutę,— pomyślał Miron, ale miał pewne zaufanie do zacnej duszy kuma, wyzwolonej z ciała i wierzył, że go w przepaść niezawiedzie. Szedł więc wpatrzony w czarną postać rycerza, pod którego ciężkiem stąpaniem schody lochu trzeszczały.

Dreszcz trwogi przeszedł po kościach Mirona... Z lochu powiał chłodny wiatr, a od strony katafalku światło coraz bardziej słabło..... Gdy zeszli na dół, zrobiło się zupełnie ciemno — jak w grobie.

Miron stanął.

— Gdzie prowadzicie kumie? — zapytał komtura.

— Stąp śmiało a ujrzysz! — krótko brzmiała odpowiedź.

Miron drżąc na nogach, zeszedł jeszcze kilka stopni w dół i ujrzał słabe światło...

W głębi kurytarza stał mały, zgarbiony człowiek, w czerwonym, długim płaszczu i w ręku trzymał latarkę. Gdy się doń zbliżyli, wykrzywił okropnie twarz, machnął ręką jakby na znak rezygnacyi i ruszył przodem.. Zaledwie uszli kilka kroków, usłyszał Miron głuchy jęk, a następnie wyraźne słowa: „I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw od złego...“ i znowu jęk i te same słowa, powtórzone kilkakrotnie.

Miron westchnął do Boga za dusze pokutujące i w tej chwili człowiek z latarką zdawał się zapadać w ziemię... Były to drugie schody, prowadzące do niższego lochu. Miron szedł zwolna, ostrożnie, wtem doleciały uszu jego ciche dźwięki muzyki i w powietrzu uczuł zapach jaśminu.

Weszli do marmurowej sali — pustej i zimnej. Na podłodze widniały czarne krzyże i ryte napisy. Człowiek w czerwonym płaszczu postąpił raźniej naprzód, stanął przy wielkich, żelaznych drzwiach, podniósł latarkę do góry... drzwi jękły i rozwarły się na oścież...

Komtur z Mironem weszli do ogromnej sali, przybranej w zieleń: bluszcz pokrywał jej ściany i wysoko piął się do góry... Sklepienie przedstawiało noc jasną: mnóstwo gwiazd migotało światłem brylantowem, a z boku po nad białą chmurką świecił księżyc.

Komtur z Mironem stanęli pod filarem olbrzymiej ściany łukowej, zrobionej z żywych kwiatów i prowadzącej do parku, a raczej do edenu, w którym było gwarno i wesoło...

Miron oglądał się na wszystkie strony — zachwyt go ogarnął ogromny... Tu widział piękne altany z drzew figowych, olbrzymie gazony kwiatów, skały z wodotryskami; tam znowu staw, a na nim łabędzie jak śnieg białe—miękkie,

rozkoszne murawy osłonięte jaśminem i winogradem, a na murawach leżące.. indyjskie szale, dywany, kaszmiry... Tu i owdzie ozwał się świergot ptaszęcia i Miron myślał, że się znajduje w raju.

Zapomniał nieborak, że był w podziemiach Christburga...

* *
*

W parku za trymfalnym łukiem grała muzyka melodyjne tańce. Miron ujrzał wirujące nimfy w gazowych obsłonkach. Wszystkie miały na głowie wieńce, a były tak lekkie, że się prawie w powietrzu unosiły...

— Czy można się zbliżyć do grona tych dziewic?—zapytał dobrodusznie komtura.

Zamiast odpowiedzi, usłyszał szyderczy śmiech za sobą; lecz... nie było nikogo.

Mirona jednak śmiech ten przeraził.

— Gdzie się znajdujemy? — zapytał trwożnie.

Komtur westchnął głęboko i rzekł:

— Znajdujesz się w przybytku rozkoszy bojowników krzyża. Tu widzisz prawdziwy cel naszego życia w ostatniej dobie przed wielkim pogromem Zakonu. Naszą mądrość i zdobycze miecza—ujrzysz na innem miejscu.

Ostatnie tony muzyki ulatywały z ostatniemi słowami komtura... Taniec ustał... Po chwili przy dźwiękach arfy rozległ się w parku cudowny śpiew kobiecy:

O, gdyby raz w tej uciech chwili
Z niebiosów promień słońca spadł—
I porwał nas—jak rój motyli,
I całus z ustek naszych skradł...

Ach, gdyby raz ujrzeć dzień
Niebiańskich tchnień!

Aniołów chór
Usłyszeć raz...
Grobowy głaz
By z serca spadł!...
. . . . . .
. . . . . .

Śpiew się urwał — arfa jękła... i do królowej nimf zbliżył się starszy z rycerzy — brat Erwin. Ukląkł na jednem kolanie i ucałował... rąbek jej szaty. Królowa skinęła głową i weszła do sali ogrodowej, za nią podążył cały orszak... Wszyscy rycerze przybrani byli w lekkie jedwabne stroje, mieli na sobie cienkie koszule, spięte u bioder złocistym pasem, a na piersiach czarne, haftowane krzyże. Każdy trzymał swoją nimfę ręką w połowie kibici.

Miron znał wszystkich rycerzy... Czy im zazdrościł szczęścia? Kronika o tem milczy.

Królowa nimf usiadła na najwyższej murawie, sparła główkę na ręku i pogrążyła się w zadumę.

Przy niej nie było rycerza — on stał przy Mironie.

W tym raju zapach kwiatów odurza zmysły..

. . . . . .

— Pójdźmy dalej — rzekł komtur. Miron się ocknął...

Poszli przez sale marmurowe... Tu stały szeregiem stoły zastawione pysznem jadłem i drogiemi napojami w szczerozłotych naczyniach. Wszystkie sale były urządzone po królewsku: makaty, gobeliny, perskie szale leżały na miękkich posłaniach, po nad któremi wznosiły się baldachimy jedwabne tkane złotem i złotemi obwieszone frendzlami... Herby na tarczach metalowych zdobiły ściany, a blade twarze alabastrowych figur wdzięcznie odbijały od mnóstwa kwiatów, ułożonych w piramidy.

Minęli ostatnią salę i weszli po schodach do górnego korytarza.

Człowiek w czerwonym płaszczu stał z latarką w ręku, jakby oczekiwał ich przybycia. Kurytarz był pusty, ale zewsząd dolatywały uszu Mirona głosy ludzkie: płacz dzieciąt, głuchy jęk i krzyki rozpaczy — wszystko razem zmięszane.

— Gdzie prowadzicie kumie?—zapytał Miron.

Komtur milczał. W tem rozwarły się drzwi boczne i czerwone światło buchnęło szeroką strugą...

Był to wchód na galeryę teatru sprawiedliwości...

* *
*

W ławach siedzą mnisi — jest ich trzynastu. Przed nimi na ziemi leżą powiązani ludzie; opodal w dole kamiennym wrze jak w piekle. Ogień bucha i rozpala mordercze narzędzia inkwizycyi. Na żelaznem kole wisi ofiara sprawiedliwości, a na jej poranionem ciele widać sine plamy. Pięć trupów złożono już w jednej trumnie.

Sąd trwa dalej...

Przed mnichami stoi człowiek stary, siwy ma włos na głowie, ale z oczu ciska błyskawice—widocznie płomień wewnętrzny nie wygasł w nim jeszcze...

— Czy jesteś chrześcijaninem? — zapytał sędzia pierwszy.

— Tak, — brzmiała krótka odpowiedź podsądnego.

— Ukrywałeś u siebie niewiernych przed pościgiem władzy?

— Tak.

— Obraziłeś tym postępkiem Majestat Boży i prawo; zasłużoną karę odbierzesz.

— Zakon miłości bliźniego znany mi jest,— a jeżeli Boga obraziłem, On tylko ma prawo mnie sądzić...

— Czy żałujesz za ten grzech wielki?

— Miłosierdzie było moją pobudką; czyn mój nie jest grzechem...

— Niepoprawny! — rzekł grobowym głosem sędzia.

— Niepoprawny!—powtórzyli mnisi.

— Na tortury z nim! może miał wspólników— zawołał pierwszy sędzia.

— Amen—zawtórowali mnisi.

W tej chwili oprawcy rzucili się na starca, powalili go na ziemię, a chwyciwszy za włosy, powlekli przez salę...

Miron nie mógł patrzeć na te męczarnie i, nie zważając na komtura, wybiegł na kurytarz... W głowie mu się mąciło... Ujrzał przed sobą szkielety, świecące jak fosfor i wymachujące kościstemi rękami, a w dali niebieskawe światło... Biegł prosto ku temu światłu i żegnał się co chwila.

Idzie... w tem ujrzał przed sobą człowieka w czerwonym płaszczu, niosącego latarkę...

Szkielety znikły i Miron wszedł do sali tronowej.

Na wysokiem krześle siedział komtur Otton z Sangierwic; w około niego stało dwunastu braci Zakonu.

W sali było pełno ludzi. To brańcy z Litwy i Rusi. Wszyscy skrępowani powrozami i wszyscy stoją spokojnie. Tylko kobiety wolne są od więzów; matki tulą do piersi swe dzieci, a te kwilą, jakby przeczuwały zły los swoich ojców.

— Ilu was jest?—zapytał komtur.

Z gromady wystąpił chłop rosły, barczysty, włos miał jasny i długi i szlachetne rysy twarzy.

— *Oj, siła pane* — rzekł i skrzywił się, bo mu więzy dolegały.

— Nie rozumiem—mruknął komtur.

Tu wystąpił starszy brat Erwin i rzekł:

— Przedstawiam Waszej Miłości sto dorodnych niewiast i sześćdziesięciu silnych mężczyzn, zabranych do niewoli w czasie ostatniego najazdu na dzierżawy polskie. Są między nimi kochankowie, jest też większa połowa ojców i matek z dziećmi.

— Dobrze—rzekł komtur—młodzieńców uczyć wiary naszej i języka naszego, starszych odesłać do robót zakonnych. Dziewice zostaną w Zakonie dla chwały Bożej! Starsze kobiety puścić na wolność, młode mężatki użyć do posług,—dzieci odłączyć.

Miron patrzał na mówiącego komtura i nie wierzył uszom swoim.

— Czy to kum mówi? — zapytywał siebie i strach ogarnął jego duszę i drżał na ciele jak w febrze.

Wszyscy pojmani uklękli i wznieśli błagalne oczy na komtura, a choć rozkazów jego nie zrozumieli, to jednak przeczuwali, że im niosą nieszczęście. Drżącym więc głosem prosili o litość...

Komtur zmarszczył brwi i skinął ręką... Krzyżacy obstąpili całą gromadę. Jeńcy cofnęli się w tył do ściany, wyprężyli swe muskuły, jakby siłą chcieli rozerwać krępujące ich pęta; krwią nabiegły ich źrenice i krew z żył o mało nie trysła.

Miron przeżegnał nieszczęśliwych krzyżem świętym... W tej chwili krzyżacy dobyli mieczy i ku więźniom je skierowali... Ściana, o którą nieszczęśliwi oparli swe barki—pękła... i ukazał się obłok biały i złote promienie wychodziły z niego, a na obłoku w promieniach stała postać w bieli, oblicze miała piękne, a wyraz twarzy niebiański. I zbliżyła się ta anielska postać do pierwszego więźnia, włożyła na głowę jego wieniec cierniowy i wzniosłszy drugą ręką palmę zwycięztwa, rzekła, „Bóg z wami!...“

. . . . . .

Miron padł na kolana, pochylił głowę ku ziemi i począł się modlić...

Na zegarze zamkowym biła dwunasta. Miron wstał i ujrzał przed sobą znajomą postać starego odźwiernego.

— Błąkacie się po zamku ojcze Mironie i zaszliście do sali tronowej — a czego tu szukacie?

Miron splunął, przeżegnał się, przetarł oczy, ale musiał uwierzyć, że mówi z odźwiernym i że się znajduje w sali tronowej, — ale duchów ani śladu.

Znikły obrazy jak senne widziadła i tylko przez szyby księżyc odbijał dziwaczne cienie...

— Ha, prowadźcie mnie Fryderyku na świat boży z tej piekielnej komnaty, bo widocznie zbłądziłem, — rzekł Miron do odźwiernego.

Po drodze miał co opowiadać, ale odźwiernemu nie było pono nowiną, bo milczał i tylko czasem kiwał głową...

KONIEC.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 9 i 10 powieści, p. t. *Dla sztuki*, przez hr. A. Klinkowstroem. Przekład Z. S.

Treść: Na rozdrożu. Złudzenie. Nocturno, przez „Leona Płoszowskiego.“—Biała baszta, nowella, przez Szczęsną.—Przy kominku. (Pogadanka), przez ??—Pamiętniki Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej, przez J. Moszczeńską (dalszy ciąg). — Teatr, przez Kazimierza Glińskiego.—Józef Jarosz Rychter. Tajemnice Zamku Krzyżackiego. Opowieść na tle legendy (dokończenie).

Dodatek obejmuje: Dla sztuki, powieść, przez hr. A. Klinkowstroem. Przekład Z. S. arkusz 9 i 10. —Przegląd mód. 35 wzorów i robót. z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycye obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.-Przedmieście Nr. 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 11 Ноября 1898 г.